Istota płomieni (Rozdział III - Chłodny wiatr ze wschodu) — MG

Od autora: Kolejny rozdział opowiadania o przygodach łowcy i alchemika. Cel podróży powoli urasta do miana tajemniczego narzędzia gry politycznej.

Rozdział III

Chłodny wiatr ze wschodu.

Ney weszła do ogromnej, pustej auli. Światło migotliwie określało kontury ciemnobrązowych ławek. Panował zapach starego drewna, a podłoga skrzypiała, pod delikatnym naciskiem stóp studentki. Schodziła, łagodnie wyprofilowanymi schodami, które prowadziły ku ogromnej, czarnej ścianie tablic. Było ich cześć, a na każdej zmieściłby się obraz jelenia w naturalnej skali. Tablice zamontowane były na czarodziejskich prowadnicach, co oznaczało po prostu, że lewitowały. Gąbki także posiadły takową umiejętność. Czarodziej, który nad nimi pracował, ze względu na odwieczną złośliwość łączącą alchemików i czarodziejów, zaprogramował gąbki tak, by te nie miały w zwyczaju wyżymać się do końca. W związku z tym, można się liczyć z częstym przypadkiem odruchowego klęcia wykładowców i rechotliwego pomruku studentów, spowodowanych kapaniem kredowej wody prosto za profesorski kołnierz z szalejących przy tablicach gąbek. Mimo wielu skarg katedry alchemicznej do rektora Władysława Greblysa, żaden z czarodziejów nie kwapi się by poprawić działanie na tyle, żeby nie uprzykrzało ono życia profesorom alchemii.

Przed tablicami stało, wielkie, masywne biurko z całym wyposażeniem charakteryzującym wszelkie biurka na całym świecie. Ney odwróciła się, a jej uwagę zwróciły ogromne, dwuskrzydłowe drzwi przez które weszła do auli. Zwieńczone były portalem z wkomponowanymi płaskorzeźbami. Obie boczne ściany zdobiły podłużne, wysokie, i jednocześnie wąskie witraże, a każdy przedstawiał symbolikę jednego z żywiołów. Aula była główną, największą aulą katedry alchemii. Tradycyjnie przed rozpoczęciem nauk zbierali się tu studenci pierwszego roku na spotkaniu z dziekanem Wydziału Alchemii, jednego z najstarszych i najbardziej zasłużonych.

W pewnym momencie studentka ujrzała postać kobiety, wchodzącej przez ogromne drzwi. Kobieta była średniego wzrostu, miała lekko falowane włosy sięgające szyi, a na nosie okrągłe okulary. Studentka wiedziała już, że to pani Dziekan Wydziału Alchemii prof Angelua Siltai. Miała na sobie togę, która

sięgała, aż po skrzypiący parkiet. Ney była trochę zmieszana. Skromnym ukłonem przywitała profesorkę, okazując jej tym samym szacunek. Dostrzegła ciepło i ogromną serdeczność na jej twarzy. Zdziwienie Ney było spowodowane tym, że wyobrażała sobie dziekankę jako starszą panią z wiecznie srogą miną. Tymczasem Angelua była pogodną blondynką około czterdziestki, wyprostowaną dostojnie, o pięknej, jasnej karnacji, bez żadnych oznak starości. Ney chciała już odejść i zająć miejsce na auli gdy dźwięczny, ciepły głos nagle wypełnił, akustycznie dostosowaną przestrzeń.

– Witam panią. – dziekan zwróciła się z uprzejmym uśmiechem do Ney, która poczuła ciepło podchodzące do gardła.

– Witam. Dzień Dobry pani profesor. – wydukała, starając się by głos jej nie zadrżał, poprawiając nerwowo okulary na nosie.

– Jak się pani podoba na uniwersytecie?

– Cieszę się bardzo, że mogę tu być pani profesor. – dziewczyna nieco się rozluźniła. Dotarło do niej, że nie ma czego się bać, że Angelua jest naprawdę miłą osobą.

– W takim razie ja też się cieszę. Lubię patrzeć na studentów, którym studiowanie sprawia przyjemność. – uśmiechnęła się jeszcze czulej, a jej kształcony głos rozbrzmiewał w całej auli.

– Rozumiem – mówiła dalej – że chcesz studiować alchemię. Czy masz jakieś tradycje rodzinne związane z tym zawodem?

– Nie, pani profesor. Mój ojciec jest ogrodnikiem, a matka zielarką. Z tego co mi wiadomo w mojej rodzinie, nie było nigdy żadnego alchemika.

– Hmm… to ciekawe. – dziekan spojrzała na Ney takim wzrokiem, jaki jest domeną wszystkich ludzi uczonych. Przymrużyła oczy: co było znakiem zachodzących procesów analitycznych, następnie skinęła głową: co oznaczało przejście do syntetyzowania wniosków, a gdy oczy z powrotem przybrały normalne rozmiary to znak tego, że procesy zostały pomyślnie zakończone. – Skoro tutaj jesteś to znaczy, że bardzo dobrze poszły ci egzaminy wstępne. Uczyłaś się wcześniej?

– Tyle co w szkole i od rodziców. Pomyślałam, że alchemia może być interesująca, dlatego spróbowałam i udało się. A rodzice mnie namawiali żebym poszła studiować i żebym się nie marnowała.

– Rozumiem – odrzekła pani dziekan, podchodząc do biurka od drugiej strony. Schyliwszy się, wyciągnęła spod blatu niegrubą książkę w okładce o oliwkowym kolorze. Podeszła do studentki i wręczyła jej podręcznik. – Proszę – powiedziała, a jej głos oznajmił tajemniczą fascynację. Taką z jaką uczeni badają jakiś niezwykły przypadek lub oczekują wyników badań.

– Dziękuję pani profesor. – odpowiedziała dziewczyna. Spojrzała na książkę. Okładka była szorstka, najwidoczniej pozycję wertowano wiele razy. Tytuł pracy wytłoczony pochyłą czcionką brzmiał: *Wstęp do alchemii. Relacje subiekt-obiekt*. Pod tytułem, mniejszą, zwykłą czcionką napisane było *Billie Dvynys*.

– Tę książkę napisał jeden z moich byłych studentów. Niezwykle zdolny, chociaż miał słomiany zapał. Bardzo szybko tracił motywację, ale walczył ze sobą i nie poddawał się. Nie był także szczególnym ulubieńcem profesorów. Mieli go za wygłupiającego się i wiecznie niepoważnego. Niektórzy nawet uznawali go za niebezpiecznego, ze skłonnościami psychopatycznymi, socjopatycznymi i fanatycznymi. Wszystko dla tego, że jak to mówi się w alchemicznym żargonie igrał z ogniem. Billie nie był jednak głupi. Mimo wielu niepowodzeń, które mogły skończyć się tragicznie opanował w końcu żywioł ognia. Zobacz – wskazała na witraż przedstawiający symbolikę ognia – widzisz czym ta część sali różni się od pozostałych? – dziewczyna twierdząco pokiwała głową. Rzeczywiście. Ściana została pobudowana od strony północnej. Ową ścianę zdobiły dwa witraże, jeden przedstawiał symbolikę wiatru, a drugi ognia. Ten drugi znajdował się bliżej wejścia, czyli wszyscy siedzący w auli zawsze mieli go za plecami, z tyłu, zwyczajnie nie zwracano na niego uwagi. Do tego, okolica ognistego witraża była zupełnie nie oświetlona, tym samym, nie wyeksponowana. Witraż prezentował się szaro i smutno, umiejscowiony w strefie cienia, tak żeby nie przyciągał atencji, a tym bardziej nie wywoływał fascynacji.

– Ta książka to jego praca doktorska. – kontynuowała profesorka – Wśród przedstawicieli katedry alchemii został uznana za bardzo dobry środek dydaktyczny, głównie przez to, że w prosty, zrozumiały sposób przedstawia podstawy wiedzy alchemicznej. Jest to bardzo dobry wstęp do tej dziedziny wiedzy, która wymaga bardzo dokładnego zrozumienia, ze względu na to, że łączy się bardzo ściśle z kwestią praktyczną działań alchemicznych. Gdy po przeczytaniu jej będziesz miała jakieś pytania służę uprzejmą pomocą – pani dziekan skinęła głową z uśmiechem, klasnęła w dłonie, spoglądając na aulę i powiedziała

– proszę zajmij miejsce i powoli będziemy zaczynać nasz pierwszy wykład.

– Dziękuję jeszcze raz pani profesor. – Powiedziała nieco zaskoczona całym zajściem Ney i udała się w stronę ognistego witraża, gdzie zajęła miejsce. Aula zapełniała się kolejnymi młodymi studentami pierwszego roku alchemii. Niektórzy wyglądali na przemądrzałych pozerów z tzw. dobrych domów, inni na nieco zagubionych i zestresowanych, a jeszcze inni na pewnych siebie i uprzejmych.

Na początku pani profesor Angelua Siltai powitała wszystkich bardzo serdecznie i urzekła swoją otwartością i ciepłem, których Ney już wcześniej zdążyła doświadczyć. Opowiedziała trochę o historii alchemii, uniwersytetu i alchemii na uniwersytecie. Wykład traktował o tym, jakie są cele dydaktyczne, priorytety, a także zagrożenia, jaka jest istota alchemii w świecie współczesnym oraz jaki wpływ ma na inne nauki i odwrotnie. Omówiono bezpieczeństwo i higienę pracy na zajęciach, szczególnie praktycznych. Studenci jak to studenci. Nie bardzo przysłuchiwali się treścią. Ci co próbowali zawzięcie i tak tracili skupienie co jakiś czas. Ney również była zajęta czymś innym niż wykład. Zgłębiała właśnie tajemnicę sztuki alchemicznej, autorstwa niejakiego Dvynysa.

Na pierwszej stronie widniał cytat drukowany kursywą:

„Alchemia jest jak muzyka. Żeby powstało dzieło potrzeba kunsztu, doświadczenia, wiedzy i intencji twórczej. Kunszt zapewnia estetyczną formę. Doświadczenie płynność i odpowiedni poziom techniczny. Wiedza jest niezbędna do łączenia poszczególnych elementów. Intencja twórcza daje pomysł i schemat wykonania. Struna przenosi częstotliwość drgania, które pudło rezonansowe zamienia w dźwięk słyszalny w eterze. Dla alchemika pudłem rezonansowym jest matryca, a eter to rzeczywistość. Najważniejsza jednak we wszystkim jest pasja.”

Kurejas z Zinios

O Alchemii twórczości boskiej.

Pierwszy rozdział nosi dumny tytuł „Alchemik" i traktuje o tym kim jest ów człowiek posługujący się twórczą intencją w sposób świadomy i praktyczny, a efekty jego twórczości są widoczne natychmiast.

Alchemik to ktoś kto formułuje przebieg reakcji, a następnie stara się odtworzyć jego efekt w postaci wyobrażenia. Takie gotowe wyobrażenie istnieje w mózgu alchemika jako powiązane ze sobą połączenia neuronowe, zamieniane następnie na impulsy bioelektryczne, które z kolei ośrodkowy układ nerwowy rozszczepia na wolne struny. Wolne struny to wiązki czystej energii, drgającej w wielu wymiarach, wypełniające przestrzeń. Struny tworzą cząstki subatomowe (kwanty), które odpowiadają za powstawanie materii, jak i grawitacji czy elektromagnetyzmu, a nawet prawdopodobnie czasu i ogólnie pojmowanej przestrzeni. Krótko mówiąc struny tworzą wszystko, wszystko można z nich stworzyć, a akt intencjonalny je stwarza. Wszystko dąży do kreowania rzeczywistości…

Ney czytała z coraz większą ciekawością. Alchemii nie odróżniała nigdy zbytnio od magii. Zresztą w społecznie powszechnym rozumieniu alchemii nie różniła się ona znacznie, właśnie od umiejętności magicznych. Pani dziekan opowiadała teraz o władzach uczelni i wydziału, o osiągnięciach naukowych, działalności społecznej, instytucjach akademickich, kołach zainteresowań i innych sprawach organizacyjnych, bardziej lub mniej ważnych.

…Aby nie poświęcać więcej stronic na wyjaśnianie terminologii dziedziny alchemii odsyłam Cię, drogi czytelniku, do specjalistycznych słowników, które przydadzą ci się w dalszej lekturze tej oto pozycji. W kolejnych rozdziałach będzie mowa o, nie tylko naukowej stronie twórczości alchemicznej, ale także o etyce i filozofii. Wspomniane zostaną także kwestie, które teoretycznie byłyby możliwe, ale nigdy nie zostały udowodnione oraz te, które teoria wyklucza, a mimo tego są możliwe z perspektywy uzupełniającej paradygmat naukowy.

Skończyła czytać pierwszy rozdział, zatrzymując się na chwilę wraz z kropką kończącą ostatnie zdanie. Nie przewróciła strony. Zamyśliła się. Podjęła refleksję nad kwestią alchemii jako takiej, która w toku rozważań rozdziału, stała się centrum jej życia.

Rozległ się szum, oznaczający zwieszczający koniec wykładu. Studenci pierwszego roku zbierali swoje manatki i kierowali się tłumnie ku, zdobionym portalem, drzwiom. Niektórzy byli znudzeni, inni z zafascynowaniem rozglądali się, podziwiając aulę i elementy zdobień, a szczególnie roszady tablic i ścigające je wariacko mokre gąbki. Jeszcze inni z odciśniętymi na policzkach i czołach fakturami rękawów, wlekli się ku wyjściu, ziewając i przecierając zaspane oczy. Ney myślała tylko o tym jak bardzo jej życie się zmieniło, tylko przez to, że poznała, nie do końca na tym etapie zrozumiałą jeszcze, tajemnicę. Podłoga skrzypiała, a Ney dopiero teraz zauważyła, że parkiet wcale nie wygląda na stary. Alchemia, a czas – pomyślała – można oszukać zmysły, ale czas łatwo oszukać się nie da. Ściskając książkę, przyciśniętą ręką do ciała, wyszła na krużganki przed dziedzińcem. Szła jakiś czas wśród radosnego zgiełku

panującego wśród studentów. Życie tu płynęło sielankowo, a straszna była tylko sesja i studenci handlu, którzy panoszyli się po wszystkich wydziałach, próbując zarobić na sprzedaży różnego rodzaju towarów. Z reguły pochodzenie było znane, lub domniemane. Najczęściej zdarzały się prace studentów przeróżnego rzemiosła, odkupywane za bezcen, a sprzedawane z dużym przebiciem, za usługę lub drogą wymiany.

Nagle dziewczyna został potrącona przez przechodzącego obok studenta niewiadomo którego roku. Uderzyła o ścianę, okulary spadły jej na podłogę, a książka wypadła z rąk.

– Przepraszam – jęknęła odruchowo, próbując się pozbierać.

– Jak leziesz? – burknął chłopak. Ney znalazła okulary i włożyła je na nos. Zdziwiła się gdy zobaczyła chłopaka, a raczej mężczyznę, który dawno powinien skończyć studiowanie. Najwyraźniej pasowało mu takie życie i postanowił zostać wiecznym studentem.

– Przepraszam, nie widziałam…

– To sobie lepsze bryle spraw, a nie łazisz i się o ludzi rozbijasz, kujonie! – szybkim ruchem zdjął jej okulary i cisnął o ziemię. Dziewczyna patrzyła na twarz wykrzywioną w okrutnym uśmieszku, a łzy napływały jej do oczu. Część obecnych gapiła się na całe zajście inni rechotali głupawo. Nagle ktoś stanął przed nią. Widziała tylko plecy. Obraz się rozmazywał w miarę napływania łez do oczu. Postać była wysoka. Po chwili odezwał się spokojny, niski, dźwięczny głos. Wybawca nie przebierał w środkach.

– Wypierdalaj. – rozkazał bezpardonowo. Ney zobaczyła białą rękawiczkę na prawej dłoni chłopaka, stojącego przed nią, przy pasku natomiast, po lewej stronie miał przytroczoną szable w smukłej pochwie. Wieczny student parsknął śmiechem i zamachnął się. Chłopak z białą rękawiczką złapał go za rękę szybkim, zdecydowanym ruchem, odchylając się w prawo i przenosząc ciężar ciała na prawą stronę. Szarpnął go za schwytaną rękę i obrócił tyłem do siebie. Wieczny student stracił równowagę i oparł się plecami o chłopaka z białą rękawiczką i szablą u boku. Poczuł jak druga ręka naciska mu przedramieniem na krtań. Szarpał się jak ryba złapana na haczyk, próbując uwolnić głowę i rękę z silnych uścisków. Nagle stęknął i został puszczony, a jego prawa ręka zwisała bezwładnie.

– Ty pieprzony! – wydyszał wieczny student wysokim głosem, wyraźnie przestraszony – ty skurwysynu! Co jest z moją ręką?

– Poraziłem w niej połączenia nerwowe, za parę minut powinna być sprawna. – powiedział spokojnie ten z szablą. Ney była oszołomiona. Nie bardzo do niej docierało cokolwiek. A już najbardziej, to że ktoś stanął w jej obronie. Nie rozumiała sytuacji.

– Nie można używać alchemii! Wywalą cię za to! Jesteś większym debilem niż wyglądasz. – na mordę wiecznego studenta wrócił wredny uśmieszek.

– Przecież nikt tu nie używa alchemii – popatrzył po zgromadzonych, a wszyscy opuścili głowy. Ci którzy się śmiali poczerwienieli – poza tym, nikt też nie lubi jak się kogoś oskarża, tym bardziej niesłusznie i tym bardziej do władz uczelni. – chłopak z rękawiczka i szablą uśmiechnął się jeszcze wredniej niż wieczny student, a aprobata dla jego słów ogarnęła zgromadzenie.

- Nie daruję ci tego zobaczysz. Skurwiel. – wysyczał przez zęby, a jego ręka nadal zwisała bezwładnie. Odwrócił się i odszedł, rozpychając lewą ręką gapiów.

– Koniec przedstawienia. Wynocha stąd. – powiedział wybawca spokojnym, wysokim tonem, a zgromadzenie posłuchało natychmiast. Chłopak schylił się i podniósł okulary Ney. Popatrzył na nie. Były potłuczone. Zdjął rękawiczkę i włożył do kieszeni.

– Wszystko w porządku? – zapytał z uśmiechem. Ney chwilę patrzyła na niego przez mgłę, spowodowaną brakiem okularów.

– Tak. Yyy… tak wszystko jest dobrze. Dziękuję. – powiedziała niemal szeptem. Chłopak uśmiechnął się.

– Jak się nazywasz?

– Ney. Ney Haik – wymamrotała.

- Miło mi Ney – chłopak wziął jej rękę, podniósł nie za wysoko, schylił się i ucałował w dłoń. Ney poczuła się dziwnie zmieszana, ale było jej miło. Wydawało jej się to dziwne bo przekonana była, że tak się

wita damy, a ona była tylko córką ogrodnika i zielarki. Honory jej się nie należały. – nazywam się Geras lad Sheen. Pozwól, że naprawię twoje okulary.

– Okulary? – dziewczyna cały czas patrzyła w oblicze Gerasa, próbując wyłowić jakieś szczegóły. Chłopak uśmiechnął się znowu – A tak! Okulary. Dziękuję ale nie musisz robić sobie kłopotu.

– Sama przyjemność – odpowiedział, a Ney zarumieniła się. – Chodź usiądziemy na ławce, opowiesz mi o sobie, a ja postaram się je naprawić. To chyba też jest twoje – podniósł książkę i podał ją Ney.

Siedzieli na ławce wśród zgiełku, panującego na dziedzińcu. Geras coś majstrował przy okularach, a Ney siedział rumieniąc się i myśląc o tym, że zrobiła z siebie idiotkę gdy chłopak wspomniał o okularach. Zamiast mu odpowiedzieć to gapiła się na niego z prawie wywalonym językiem. Idiotka – myślała – skończona kretynka.

– Skąd jesteś? – zapytał nagle Geras.

– Moi rodzice mają szklarnie i pracownie zielarską zaraz pod Vidutine. – odpowiedziała, a napięcie coraz bardziej ustępowało. Czuła jak jej mięśnie się rozluźniają. Czuła się dobrze w towarzystwie Gerasa.

– Nie boicie się napadów? Poza murami miasta jest niebezpiecznie.

– Nigdy nic złego się nie przytrafiło. Tak jest jak jest. Zielarstwo jest powszechnie uważane za słuszne i pożyteczne. Dlatego nawet jak ktoś ma niecne zamiary to nie względem zielarzy czy ogrodników.

– W sumie masz rację. Co studiujesz? Bo rok stawiam, że pierwszy.

– Alchemię. Skąd wiesz, że pierwszy rok?

– To widać, uwierz mi. Od razu można poznać pierwszoroczniaków. Poczekaj chwilkę. – Geras narysował coś na szkiełkach okularów. Następnie dotknął wewnętrzną stroną dłoni. Z pod palców było widać

pomarańczową poświatę. Odjął rękę i podał okulary dziewczynie. Ney założyła je na nos, nieco zdziwiona tym, że zostały naprawione. Geras zmazał szmatką tajemniczy rysunek na szkiełku.

– I jak?

– Jak nowe. Jak to zrobiłeś? – zdziwiona zdjęła okulary i zaczęła je dokładnie oglądać, badając opuszkami palców i marszcząc przy tym brwi.

– Za niecały rok będziesz gardziła takimi umiejętnościami. – powiedział z uśmiechem. Ney spojrzała na niego. Miał foremną jasną twarz. Krótkie, ale gęste blond włosy i delikatny zarost. Oczy były bardzo, bardzo błękitne. Wydał się Ney niezwykle przystojny, dobrze zbudowany, wysoki. Jego uroda była typowo, czysto juracka.

- To alchemia?

– Tak. Niezwykła, prawda? Według tradycji w mojej rodzinie każdy mężczyzna musi skończyć szkołę rycerską, a do tego mieć także wykształcenie z innej dziedziny. Ja wybrałem alchemie. Moi rodzice niechętnie na to przystawali, ale wreszcie przekonali się jakoś, chociaż nie do końca. Widzę, że masz ciekawą lekturę. Polecam. Pamiętasz tę rękawiczkę na mojej dłoni? – w tym momencie wyciągnął z kieszenie białą rękawicę z wyszytym znakiem – to jest pomysł autora tego podręcznika.

– Tak, ile już zdążyłaś przestudiować?

– Dopiero pierwszy rozdział.

– Zobacz. Zwróć uwagę na ten haft. To tak zwana matryca. Wykonana jest z włókna węglowego i łączy dłoń alchemika z transmutowanym przedmiotem. O ile dobrze pamiętam w pierwszym rozdziale jest już coś wspomniane o teorii strun. Włókno węglowe najlepiej przewodzi energię twórczą, ponieważ niemal wszystko ma w swojej budowie węgiel. Matryca zawiera jak gdyby równanie reakcji, którą chce się przeprowadzić. Tak jak nuty i inne znaki na pięciolinii mówią muzykowi jak ma grać, tak matryca jest czymś podobnym dla strun. Rozumiesz mniej więcej?

– Mhm… Coraz bardziej mi się rozjaśnia. Długo już studiujesz alchemie?

– Drugi rok.

– I już potrafisz takie rzeczy!? – Geras uśmiechnął się.

– Mówiłem ci, że za niecały rok będziesz gardziła takimi umiejętnościami.

– Czy wiesz coś o alchemii czasu? – chłopak zrobił poważną minę, zmarszczył brwi. Ney poprawiła okulary.

- lko tyle ile czytałem w tej książce, a oprócz tego to co usłyszałem na wykładach.

- A co mówili na wykładach?

– Że jest to raczej nie możliwe. To znaczy… jest to jakby jeden z paradoksów alchemicznych. Jeżeli czas jest wymiarem to powinien się zaginać podobnie do przestrzeni. Jeśli jest membraną, to pownien wpadać w drgania o takiej samej częstotliwości jak struny. Jednak nikomu jeszcze nie udało się opanować czasu. Wydaje mi się, że nie jestem odpowiednią osobą, która mogłaby ci to dobrze wytłumaczyć.

– Dziękuję i tak mi dużo pomogłeś. Powiedz mi jeszcze o co chodzi z zaginaniem przestrzeni?

– A jaki masz teraz wykład.

– Rzeczywiście! Zapomniałam. Kiedy indziej pogadamy. – zerwała się nagle, wygrzebała plan i zaczęła panicznie go przeglądać. – Ontologia alchemiczna…

– Wejdź w kruszganek i cały czas korytarzem w głąb, aula numer cztery po prawej stronie. O tam. – wstał

i wskazał dziewczynie kierunek – na ontologii na pewno znajdziesz odpowiedzi na pytania związane z czasem i przestrzenią.

– Dziękuję. I jeszcze za to, że mi pomogłeś i naprawiłeś okulary, i za rozmowę!

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Geras uśmiechnął się szczerze, a Ney odwzajemniła uśmiech. Pobiegła korytarzem, ściskając książkę i poprawiając co rusz okulary. Była szczęśliwa. Zdążyła w ostatniej chwili.

Wykładowca był niskim starszym panem o wysokim chrypliwym głosie. Uśmiechał się niemal ciągle, często chrząkał, przykładając pięść do ust. Marynarkę i spodnie miał w jednolitym, brązowym kolorze. Laczki były również brązowe, ale nieco ciemniejsze, solidnie napastowane i wypolerowane. Spod marynarki wystawała kraciasta kamizelka, do której dopasowana była, przebijająca swoją kraciastością kamizelkę, muszka, eksponowana na tle nieskazitelnie białej koszuli. Siwe włosy porastały boki głowy, wyglądały jak dwie chmurki, przedzielone łysinką. Profesor nazywał się Zbigniew Gracey, przez studentów nazywany pieszczotliwie Wujkiem Zbyszkiem, albo po prostu Wujciem. Zresztą Wujcio, tak Do Wujcia przylgnął, że nazywali go tak również inni wykładowcy i pracownicy uniwersytetu. On sam nie miał nic przeciwko.

– Ontologia jest dyscypliną filozofii i nauką o bycie moi mili. Co to znaczy? Znaczy to, że byt zawiera w sobie pojęcie istnienia, a także wszelkie jego przejawy. Przedmiotem zainteresowania naszej nauki jest natura rzeczywistości. Pytania, które się nasuwają to: czy rzeczywistość jest jednorodna? Czym jest czas? – Ney odruchowo wzmogła czujność i uwagę – Czym jest przestrzeń i czy jest zmienna? Jeśli tak, to czym jest zmienność? A także wiele innych, ważnych pytań, które będziecie zadawać, strzygąc uszami, przez cały rok nie tylko mnie, ale przede wszystkim sobie. Spytacie, dlaczego ten stary Wujcio każe nam pytać siebie skoro i tak nie znamy odpowiedzi? Filozofia moi kochani polega na tym by samemu dochodzić rozwiązania. Wiedza to nie tylko fakty. Wiedza to głównie to jak te fakty potrafimy inteligentnie wykorzystać, analizując, syntetyzując i w ten sposób dochodząc do uniwersalnych prawd. Tych prawd nigdy nie zapomnicie, bo będą częścią was, będziecie je rozwijać lub przełamywać, ale zawsze tym co przyjdzie z wnętrza, a nie z zewnątrz. Nie można być alchemikiem bez indywidualnego podejścia do teorii, praktyki, do świata. Tak jak niema dwojga takich samych osób, tak i niema takich samych alchemików. Każdy specjalizuje się w czym innym. Każdy ma własne metody, sposoby, matryce i tak dalej. Nie można skopiować sposobu myślenia. Dlatego, każdy z was ma niepowtarzalny potencjał, który tutaj będziecie rozwijać w toku samokształcenia. My jesteśmy tylko waszymi opiekunami. Mamy wasze myślenie i starania nakierować. Tak jak muzykę ukierunkowuje natchnienie. – Profesor opowiadał bardzo ciekawie, niemal wszyscy go słuchali. Dalej była mowa o sprawach organizacyjnych i trochę genezy ontologii i filozofii, która miała być rozwijana na następnych spotkaniach.

– Czy są jakieś pytania? – skończył profesor. Ney biła się z myślami. Wstydziła się zadać pytanie, a miała nie jedno. Profesor rozglądał się po sali z uśmiechem, szukając pytań. Jego wzrok zatrzymał się na Ney. Prawdopodobnie dostrzegł, że dziewczyna chciałaby o coś zapytać.

– Może pani? – powiedział z uśmiechem wskazując na speszoną Ney. Milczała – śmiało, nie ma się czego bać – zachęcał studentkę, a jego uśmiech przypominał hamak, zawieszony między uszami. Ney nerwowo poprawiła okulary i chrząknęła, zwyczajem wszystkich na świecie zabierających głos.

– Czy czas podlega transmutacji? – wyjąknęła nieśmiało. Wykładowca popatrzył na nią z fascynacją.

– Plus za terminologię – powiedział mrugając okiem – minus za błąd rzeczowy, wynikający z niewiedzy, jak mniemam, którą panią usprawiedliwiam ponieważ dopiero zaczynamy. Najpierw panią poprawię, a potem odpowiem. Otóż – odchrząknął – transmutacji mogą podlegać tylko obiekty materialne. Dlatego twórczy akt intencjonalny ukierunkowany na czas, czy przestrzeń, tudzież inne byty, które charakteryzuje niematerialność, nazywamy umownie wymiarami. Tychże wymiarów nie transmutujemy, jak mówiłem, a zakrzywiamy. Tyle jeśli chodzi o poprawę. W odpowiedzi na pani pytanie powiem tak… Teoretycznie jest to możliwe, ale nikomu do tej pory się to nie udało. – Ney czuła na sobie ciekawskie spojrzenia innych studentów. – Uprzedzając pani następne pytanie, które z całą pewnością padłoby w tym momencie, chętnie podam jeden teoretyczny sposób, który jest najbardziej prawdopodobny. – Profesor podszedł do tablicy i narysował dwa punkty. Podpisał je dużymi literami A i B.

– Niech mi pani powie… Przepraszam jak brzmi pani imię?

– Ney, panie profesorze.

– Bardzo ładnie – uśmiechnął się serdecznie i kontynuował – Niech mi panienka Ney powie zatem co narysowałem na tablicy?

- Dwa punkty – odpowiedziała niepewnie, podejrzewając, że pytanie może być podchwytliwe.

- Dobrze. – oznajmił Wujcio, a Ney odetchnęła z ulgą.

– Czym dla tych dwóch punktów jest tablica?

– Przestrzenią – odpowiedziała już nieco pewniej.

– Bardzo dobrze! Są to dwa punkty znajdujące się w jakiejś odległości od siebie. Proszę sobie teraz wyobrazić, że w miejscu gdzie istnieje punkt B, intencjonalnie tworzymy punkt A'. Co się wtedy dzieje? W tym momencie stwarzamy kolejną superpozycję punktu A. To znaczy, że nie przenosimy go w okolice punktu B, bo to jest możliwie tylko magicznie. Znaczy to jednak, że obiekt A ma naturę falową – narysował falę i podpisał ją A – materializuje się w dwóch punktach w przestrzeni. Oznacza to, że mamy jeden obiekt w dwóch miejscach naraz. – pomruk zdziwienia obiegł aule. Wujcio kontynuował, uśmiechając się. – Poważna sprawa co? No dobrze. Więc jak powiedziałem wcześniej są to dwie superpozycje punktu A, oddzielone od siebie o jakąś odległość. Superpozycje to wszystkie możliwe stany danego obiektu. Taki punkt A można rozszerzyć na tyle, żeby istniała możliwość przejścia. Takie zjawisko nazywamy portalem kwantowym. Efekt działania podobny do teleportuj magicznego. Jednak coraz bardziej powszechny ze względu na większe bezpieczeństwo. Jest to także wykorzystywane do natychmiastowego przesyłu informacji. W takim przypadku znika kwestia odległości. – Zapanował jeszcze większy pomruk. Profesor dał trochę czasu na ochłonięcie wrażeń, patrząc z uśmiechem po auli. Po chwili wróciła cisza. A Wujcio spojrzał na Ney i zaczął mówić dalej.

– To się tyczy wymiaru przestrzeni. Wracając do pani pytania. Jeśli czas jest wymiarem, a wszystko wskazuje na to, że jest, to można zrobić z nim to samo. Powstaje tedy ogromna liczba pytań. – ton profesora przybrał dozę tajemniczości – Jak umieścić superpozycję w przeszłości lub przyszłości? Co by to spowodowało? Czy czas by się rozgałęził? Czy istnieją alternatywne przyszłości? Czy czas ma naturę osi, czy może przestrzeni wielowymiarowej? Im bardziej w głąb króliczej nory, tym pytania trudniejsze i powstaje ich więcej i więcej. Niepewność jest niebezpieczna, a zaślepiona pewność, głucha. – zrobił pauzę. Słychać było tylko świergot ptaków za oknem. W auli cisza panowała niepodzielnie przez parę sekund.

– Czy jest pani usatysfakcjonowana odpowiedzią? – zapytał, kierując wzrok z powrotem na Ney, skrzętnie notującą i rozrysowującą sobie wszystko co profesor mówił.

– Tak, panie profesorze.

– Cieszę się. Czyżby ktoś polecił pani książkę niejakiego dr Billiego Dvynysa? – zapytał Wujcio, mierząc Ney przenikliwym spojrzeniem.

– Tak, panie profesorze.

– Doprawdy, kontrowersyjne dzieło. Ale skoro to dzieło, to zasługuje ono na szacunek. Może nawet większy niż dzieła nie kontrowersyjne. Widzicie… – popatrzył po auli – przyszło nam żyć w czasach nowatorskich. W czasach zmiany paradygmatu naukowego. Klasyczne myślenie powoli odchodzi, zostaje na kartach historii, ustępując nowym pomysłom na model natury i funkcjonowania wszechświata. Cały czas mało wiemy. – opuścił wzrok i westchnął, po czym spojrzał znowu na Ney – Dziękuję pani Ney, że się pani takimi sprawami interesuje. Zalecam jednak ostrożność. Życzę powodzenia w rozważaniach. Jeśli będę mógł w czymś pani pomóc, to służę swoją wiedzą. Jeśli niema więcej pytań to dziękuję państwu i do zobaczenia na następnych zajęciach. – uśmiechnął się szczerze, na swój sposób. Gdy wszyscy zebrali się do wyjścia, usiadł za biurkiem i zaczął wypełniać jakieś papiery. Ciekawa postać ta Ney – myślał – nareszcie trafił mi się student, który ma motywacje do pracy. Do prawdziwego, alchemicznego realizowania swojego twórczego potencjału. Kto by pomyślał Billie, że nowe pokolenia pójdą twoją ścieżką. Twórca teorii istoty płomieni i myśli, która rozbudziła potencjał w następnym pokoleniu. Czas – tego się nie spodziewałeś co Billie? – profesor uśmiechnął się sam do siebie, zabrał teczkę i wyszedł z auli.

***

Nie łatwo było wjechać do Prekybos Vartai. Nad drogami unosiły się kłęby pyłu, wzniecone spod kół licznych wozów kupieckich, ściągających do miasta na handel. Valyti jechał obok, wyprzedzając handlarzy. Jako podwładny wysokiego urzędnika państwowego nie podlegał także kontroli celnej. Celnicy z Bramy Handlowej byli największymi profesjonalistami w całym Tevynevande i jak to na profesjonalistów przystało mieli układy. Przydatne były szczególnie te, które dotyczyły czarnego rynku, informacji i rzadkich towarów. Valyti doskonale o tym wiedział.

– Stać! – krzyknął strażnik – kontrola celna. Zatrzymać się i zejść z konia!

– Ja w sprawie urzędowej. Ze stolicy. – odpowiedział spokojnie Valyti.

– Nie dyskutować! Kontrola celna dotyczy każdego! Z konia! – strażnicy skierowali halabardy w stronę jeźdźca. Fegs zarył kopytem w ziemi i zarżał agresywnie. Valyti wyciągnął zza pazuchy list żelazny i pokazał go ostentacyjnie strażnikowi. Wyraźnie widniała na nim pieczęć królewska.

– Nie macie prawa mnie zatrzymywać – powiedział ze spokojem. Rozumiał, że strażnicy wykonują swoją pracę, ale był nieco podirytowany. Wiedział jednak, że honorem unoszą się władcy i hrabiostwo w podobnych sytuacjach. Gardził taką postawą. Wiedział, że już dawno by wąchał kwiatki od spodu, gdyby nie powściągliwość. Wiele razy opanowanie, niczym list żelazny, uratowało go od stryczka.

– Pieczęć Króla Machaona – wydukał strażnik – prosimy panie o wybaczenie. Opuścić broń debile! Nie widzicie, że to poseł z urzędu!? – zakłopotany celnik skarcił strażników, którzy spoglądali na siebie, wzruszając ramionami i robiąc głupie miny.

– Prowadź mnie do twojego dowódcy.

– Rozkaz panie!

Valyti wszedł do strażnicy nieopodal bramy. Siedział tam wysoki, dobrze zbudowany człowiek z blizną na policzku. Nawet nie zerknął na Valytiego. Patrzył w kajet, siedząc przy stole. Wyglądał jakby liczył coś, co sprawiało mu straszny kłopot. Kiedy usłyszał zamykające się drzwi podniósł głowę, lustrując przenikliwymi oczyma postać, która się w nich pojawiła.

– Czego? – burknął, marszcząc brwi.

- Jestem posłańcem urzędnika państwowego, nazywam się…

– Gówno, za przeproszeniem, mnie obchodzi jak się nazywacie i kim jesteście. – przerwał w skurwysyński sposób człowiek z zza stołu i opuścił głowę nad kajecik – skoro przyszliście do mnie, to znaczy że macie list żelazny i to mi wystarczy. Domyślam się też po co tu jesteście. W takim wypadku im mniej o was wiem tym lepiej dla wszystkich. – celnik podniósł wzrok na Valytiego i uśmiechnął się sztucznie. Goniec zachował spokój.

– Widzę, że słuchy o profesjonalizmie celników z Prekybos Vartai to nie plotki. – powiedział Valyti, wchodząc głębiej i zdejmując skórzane rękawice. – Ale skąd to przeświadczenie o pewności w jakiej sprawie do was przychodzę?

– Tam gdzie jest władza, tam jest i miejsce na szemrane interesy. Czasami coś trzeba załatwić po prostu cicho, szybko i bez pokwitowań. Tak żeby potem nikt nie zadawał pytań. My celnicy musimy dobrze żyć ze wszystkimi. Myślisz, że władcy się nami interesują? Jeśli ktoś będzie próbował wcisnąć ci takie gówno, to zabij dziwkę, bo łże i prawdopodobnie chce cię wydymać w dupę. Żeby żyć, w takim miejscu nie można polegać tylko na władzy świętej i sprawiedliwej – zaszydził celnik – Takie miejsca nie przyciągają tylko kupców, ale i tych, którzy chcą się dorobić na lewo, srając na prawo, że tak powiem. Czasami kogoś trzeba nastraszyć, kogo innego okraść, od kogoś wyłudzić haracz, a innego zabić. Ludzie, trudniący się taką robotą są nieuniknionym elementem takich miejsc jak to. Najłatwiej ich tu znaleźć, jeśli wiadomo oczywiście, że w tym miejscu należy szukać. Wy wiecie o tym doskonale, prawda pośle? Po to tu przyszliście. – Valyti stał spokojnie patrząc w oczy celnikowi. Wiedział, że mają dużo ze sobą wspólnego.

– Pozwolisz zatem, że przejdę do rzeczy.

– Nalegam, oszczędzajcie mój cenny czas.

– Czy jest ktoś, o kim w ostatnim, czasie zaginął słuch?

– Tak. Wężowa ręka i wielki, łysy dryblas, niejaki Baslys. – odpowiedział bez namysłu –ścierwo i kanalie. Marni płatni mordercy, ale to też chyba wiecie. Dziwne, że do poważnej roboty ktoś wynajmuje takie płotki. Prawda? – celnik uśmiechnął się krzywo i spojrzał na Valytiego spode łba.

– Znałeś ich? – Ciągnął Valyti, zaskoczony, udając, że nie utożsamia się z zaszyfrowanym zarzutem.

– Nie odpowiem na to pytanie bezpośrednio. Wiem kim byli.

– Czy wiesz gdzie znajduje się reszta kompanii, do której należeli?

– Tak.

– Gdzie?

– Śmiem twierdzić, że żarty się was trzymają, posłańcze – parsknął celnik – muszę być ostrożny. Wyglądacie na inteligentnego człowieka, a nadal nie pojmujecie jak rozmawiać. Tak dobrze wam szło, aż emocje wreszcie poniosły. Pomogę wam. Bądźcie jutro o brzasku na przystani za magazynem żywności. To wszystko.

– Dziękuję.

– Drobiazg.

– Zapłacę.

– Nie chcę pieniędzy. Skąd ja niby powiem, że to mam, na loterii wygrałem? Iście ogromne macie poczucie humoru. Mamy tu, można powiedzieć… częste kontrole.

– Odwdzięczę się.

– Dobra, skończcie już. Wszystko wiecie. Wynocha. – Valyti uśmiechnął się kącikiem ust. Przed wyjściem odwrócił się jeszcze na chwilę w stronę celnika.

– Nie myślałeś przypadkiem o zmianie pracy?

– A co, ofertę dla mnie macie? – zadrwił – Tu jest mi dobrze, nie chcę mieszać się do afer. To śmiertelnie niezdrowe – powiedział celnik i splunął siarczyście, wbijając wzrok w kajet.

– Do zobaczenia w takim razie.

– Mam nadzieję, że nie prędko.

Valyti czekał za magazynem jeszcze przed wschodem słońca. Nagle z porannej mgły wyłoniły się dwie postaci. Ich twarze emanowały kompletnym brakiem nadziei. Jeden miał zabandażowaną i unieruchomioną rękę. Drugi był stary, przygarbiony i odchrząkiwał co rusz. Widok mógł złapać za serce.

– Rozumiem, że nie wykonaliście swojego zadania. – stwierdził surowo Valyti, zerkając to na jednego, to na drugiego. Obaj mieli spuszczone głowy, a na widok wyrazu twarzy chciało się płakać.

– Nie panie – powiedział starzec – kończmy to ehm.. wreszcie.

– O czym mówisz starcze. – zdziwił się Valyti. Starzec spojrzał mu w oczy.

– Przyjechałeś po nasze głowy. Ehm… Rób więc co do ciebie należy. – wycedził obojętnie stary. Ten drugi, łysy, milczał.

– Co się działo?

– Śmierć panie, śmierć. Sromotna kara za nędzne życie.

– Było was tam czterech. Nie daliście rady dwóm osobom?

– Wypruli by z nas flaki, jeśli by chcieli. To nie są jakieś tam przypadkowe ptaszki. To potwory. Szczególnie ten jeden. Czarny jak kruk, szybki i przebiegły.

– Więc daliście im uciec…

– Oni nam dali odejść. – Milczeli chwilę, a słońce powoli przebijało się przez mgłę. Słychać było pierwsze łodzie odbijające od brzegu. Ich załogi jeszcze nieco ospałe i skacowane, marudziły głośno jaka ta dola niesprawiedliwa, rzucając przy tym plugawymi przekleństwami.

– Powinienem was zabić, ale daruję wam. Macie szczęście, że nasz pan dał mi wolną rękę. – Valyti cedził słowa przez zaciśnięte zęby. Był zły, że jest tak pobłażliwy dla ludzi, którzy potem i tak mają to gdzieś. – Nie wywiązaliście się z umowy. Nie chcę już pytać o to, co się od was dowiedzieli bo mógłbym nie wytrzymać i odrąbać wam łby. Doceńcie to. Kolejny raz w ciągu ostatnich dni los daje wam szanse na nowe życie darmozjady. Wyczerpaliście już limit szczęścia. Zacznijcie normalne życie bo znajdę i skończę wasz nędzny żywot. A jak nie ja to ktoś inny. Rozumiecie?

– Tak panie – powiedział ten drugi z obandażowaną ręką. – Będziecie za nimi jechać prawda?

– To was nie powinno interesować.

– To nie są źli ludzie. – Valyti zdziwił się. Mimo swojemu zmysłowi analizy ludzkiego umysłu, nie spodziewał się czegoś takiego. Po chwili jednak dotarło do niego.

– Nie źli, to nie znaczy dobrzy. – po tych słowach odjechał.

***

Dawno nie mijali żadnej łodzi. W ogóle nie było oznak cywilizacji. Obydwa brzegi zarośnięte bujną roślinnością, gęste lasy i żadnych zwierząt, oprócz kruków krążących po niebie. Ramus czuł, że jest

coś nie tak. Jego obawy potwierdził Rukyta.

– Musimy się gotować na możliwe niebezpieczeństwo.

– Trochę późno o tym pan wspomina panie Rukyta – powiedział Billie.

– Zwykle nie tak ponuro bywało. Nawet ryba się nie rzuca. Niedługo zatrzymamy się w niedużym miasteczku.

Nagle coś poruszyło się po obydwu stronach zwężenia rzeki. Słychać było chlust wody, a w powietrzu z ogromną prędkością świsnęły kamienie, najwyraźniej miotane procami. Zobaczyli jak w ich stronę nadpływają tratwy zrobione z powiązanych beczek. Na tratwach stali ludzie, najwidoczniej bandyci. Jedni ciskali kamieniami z proc, inni darli się wymachując saberami. Rukyta zaklął głośno i szpetnie. Peleda dorwała kuszę, a Ramus dobył łuku. Billie zaczął rysować węglem matryce na pokładzie barki. Rukyta manewrował jak szalony, starał się jakoś umknąć. Padły strzały. Peleda strzelała na jedną a Ramus na drugą burtę. Słychać było chlust. Parę trupów leżało już w poczerwieniałej wodzie. Musieli uważać na latające w powietrzu kamienie. Ramus nie mylił się ani razu. Szybko pozbył się miotaczy po swojej stronie, każdy jeden leżał w wodzie, paru na tratwie. Jednym lotki wystawały z gardeł innym z oczodołów. Peleda klęła jak szewc, czy może bardziej obrazowo, jak kowal. Rozpraszało ją ciągłe przeładowywanie kuszy. Tratwy były coraz bliżej. Ramus pomógł Peledzie wystrzelać miotaczy z drugiej tratwy. Nagle barka zatrzymała się. Rukyta wykrzykiwał plugawe klątwy na lewo i prawo. Okazało się, że bandyci rozpostarli linę przez rzekę, która zatrzymała barkę. Lina trzeszczała i napinała się coraz bardziej, a barka zaczęła ustawiać się bokiem do nurtu. Bandyci rzucili liny zwieńczone czymś na kształt kotwic, które zahaczyły o burty. Przyciągali się teraz w niezwykle szybkim tempie, drąc się w niebogłosy. Ramus złapał za miecz i przeciął jedną z lin, Billie wcisnął wcześniej rękawicę na dłoń i przepalił drugą. Tratwy zdążyły nabrać jednak pędu. Bandytom nie sprawiało większego kłopotu dopłynięcie za pomocą wioseł. Ramus drugą ręką wyciągnął nóż myśliwski. Był gotowy do walki, a jego wzrok płonął nienawiścią. Peleda klęła jak opętana, wyciągając małą, bloczkową kuszę, wyposażoną w automat ładujący bełty. Barka zadrżała całkiem potężnie. Obie tratwy niemalże w tym samym czasie skończyły ten rzeczny abordaż. Bandyci poczęli wysypywać się jeden przez drugiego na łódź Rukyty. Billie doskoczył do matrycy, narysowanej na środku pokładu, przyłożył do niej dłoń bez rękawicy i krzyknął.

– Zamknąć oczy!... Na mój znak… Uwaga… Teraz!

Słychać było dźwięk, jakby coś przeleciało obok z niewiarygodną prędkością, bucząc takim basem, który poruszył kichy. A potem rozległ się jeszcze większy wrzask bandy. Gdy Ramus otworzył oczy zobaczył,

że wszyscy trą knykciami po oczodołach. Billie krzyknął, że to był oślepiający błysk i że przez to kupił im trochę czasu. W tym momencie zakładał drugą rękawicę. Ramus rzucił się na otępiałych bandytów. Ciął jak wariat. Krew bryzgała, malując w powietrzu fantastyczne kształty. Billie wykonywał gesty, wyglądające jakby trzymał obiema rękoma kulę. Między dłońmi błyskała iskrą, a następnie powietrze w środku ulegało zapłonowi. Billie utrzymywał płomienie w zbitej sferze, manipulując ciśnieniem. W momencie gdy sfera się zapadała, prostował ręce w łokciach, kierując otwarte dłonie w stronę celu, a sfera wypluwała cały zebrany płomień. Dookoła coraz więcej trupów. Smród palonego ciała, wrzaski i bulgotania krwią z przeciętych gardeł. Syk parującej wody, w której gasiły się palone truchła. Pogrom i masakra ogarnęły środek koryta Motiny. Rukyta wyrzygał już całą wódkę i wędzone śledzie. Zanosił się w suchych torsjach. Peleda też ledwo wytrzymywała smród i okropne widoki. Strzelała seriami, a tych których ukąsiły strzałki, dosięgał płomień lub świecące ostrze Erelisa. Ramus powalił sam czterech, nie przyglądał im się zbytnio. Gdy zabijał, nie patrzył w oczy, bo wtedy przychodziły skrupuły, a w takich sytuacjach przez skrupuły można było zginąć. Rzuciło się na niego następnych trzech. Wszytko działo się jakby wolniej. Najpierw ten z prawej. Zaatakował od góry tnąc pionowo, jednak cięcie było zbyt bardzo oddalone w lewo od osi centralnej ciała napastnika. Ramus przeniósł błyskawicznie ciężar na prawą nogę, a saber zaświstał mu przy lewym ramieniu. Lewa ręka podążała za ciałem. Nożem, który w niej trzymał, ostrzem zwróconym do tyłu, zamaszystym ruchem przeciął prawemu aortę i krtań, ustawiając się frontem do środkowego. Lewy bandyta, jeśli patrzeć na pierwotne ustawienie, przemieścił się tam gdzie Ramus stał na początku. Piękny błąd przeciwnika, którego Ramus nie omieszkał wykorzystać. Środkowy bandzior nie zdążył jeszcze odwrócić się w stronę Ramusa, gdy ten już cały ciężar swojego ciała przeniósł na lewą nogę, robiąc dużego susa w stronę ofiary. W tym samym momencie ciął od dołu, po skosie, spod prawej ręki pod pachę zaskoczonego bandyty, siecząc przy tym żebra w okolicach serca. Rana była głęboka i niesamowicie paskudna. Żebra aż strzeliły pod gruchoczącą energią, w którą włożony był każdy najmniejszy ruch, wzmagający impet jasnozielonej głowni. Ramus tylko zerknął na trzeciego bandytę, który z tej perspektywy stał za padającymi zwłokami. Obrócił się zachowując pęd z poprzedniego uderzenia i doskoczył w stronę zbira, uderzając po osi poziomej na wysokości szyi. Ciało bandyty stanęło jak wryte. Głowa potoczyła się po deskach, a z szyi siknęła krew. Wszystko zaczynało wracać do normalnego tempa. Znów wszystko działo się coraz szybciej. Trup osunął się na kolana i padł na pokład w kałuży krwi i innych płynów fizjologicznych. Ramus rozejrzał się po barce. Billie nadal miotał płomieniami jak wariat. Peleda drżącymi rękoma próbowała włożyć następny magazynek. Rukyta gdzieś zniknął, zostawiając po sobie tylko kałuże wymiocin. Nagle lina się zerwała. Szarpnęło tak mocno, że wszyscy upadli na ziemię, a Ramus wyleciał za burtę. W całym tym zgiełku nikt tego nie zauważył. Prąd ciągnął go w przeciwną stronę, niż wiatr pchał barkę. Próbował płynąć. Krzyczał. Barka oddalała się coraz bardziej. Ściskał miecz, nóż upuścił na pokładzie w czasie upadku. Prawdopodobnie zsunął się i zatonął. Widział jak buchają płomienie. Słyszał wrzask Peledy. Pomyślał, że coś jej się stało. Nie mógł zebrać myśli. Panikował. Woda go zalewała, bo rzucał się bez opamiętania. Wpadł w jakiś gwałtowny nurt, który rzucił go o wystające przy brzegu kamienie. Poczuł uderzenie w potylicę, tępy ból. Zobaczył ciemność i wszystko ucichło.

Obudził go dźwięk pluskającej wody, zimno i głośne krakanie. Była noc. Księżyc w nowiu nie dawał zbyt dużo światła. Głowa bolała niemiłosiernie. Każdy ruch powodował gwałtowną falę otępiającego

rwania w potylicy. Muszę znaleźć bezpieczne miejsce – mówił do siebie – starając się uspokoić. Muszę się podnieść, wzrok mi się przyzwyczai do ciemności. Muszę rozpalić ognisko.

– Kurwa mać! – Przy próbie wstania, ból stał się nie do zniesienia. Ramus wrzasnął tak głośno, że aż ptaki, śpiące gdzieś w koronach drzew się spłoszyły. Tylko krakanie słyszał wyraźnie i głośno, jak na początku. Nagle przypomniało mu się o eliksirze, którego nazwy nie pamiętał. Dostał go od Billiego. Zaczął badać kieszeń. Poczuł, że są tylko dwie flaszki, a kolejne dwie najwyraźniej się potłukły bo jego palce pokaleczyły małe drobinki szkła. Syknął boleśnie i wyciągnął ocalałe buteleczki. Wymacał, że jedna z nich, na pewno jest eliksirem leczniczym. Była pękata z wydłużoną szyjką. Wyjął korek i wypił na raz. Poczuł ciepło w żołądku i niewiarygodną ulgę. Głowa przestawała boleć. Uśmiechnął się, upojony malutkim szczęściem i powrotem nadziei. Druga ampułka była okrąglutka jak piłeczka. Ramus również wychylił ją na raz. Po paru sekundach zaczęły mu się rysować przed oczami kontury w odcieniu szarości.

– Ale ja mam szczęście – powiedział do siebie. Okrągła ampułka okazała się skrywać w sobie eliksir widzenia w ciemności, o którym mówił Billie. Ramus czuł przypływ entuzjazmu i był gotów wziąć sprawy w swoje ręce. Przeanalizował sytuację. Stwierdził, że jest beznadziejna. Nie wiedział gdzie jest. Nie wiedział gdzie są Billie, Peleda oraz Rukyta i czy w ogóle żyją. Znowu usłyszał krakanie. Spojrzał w górę i zobaczył, siedzącego na gałęzi kruka. Wydawało mu się że to nawet ten sam kruk co parę dni temu usiadł na burcie łodzi. Ptak nagle poderwał się do lotu i zniknął w leśnej gęstwinie. Ramus słyszał tylko krakanie, które w pewnym momencie przestało się oddalać. Chce żebym za nim poszedł – pomyślał – a co mi tam, warto spróbować. W swoim położeniu nie powinienem wybrzydzać. Chociaż nie jest tragicznie. Na duchu podnosiło go to, że widzi. Głowa już nie bolała. Był dobrej myśli.

Szedł wśród drzew, potykając się czasami o jakiś wystający korzeń. Szedł za krakaniem. Czasami widział przemykającego między drzewami czarnego paka. Innym razem przemykało coś co wcale na ptaka nie wyglądało, a raczej wszystko co przemyka w ciemnościach między drzewami wywołuje, nie tyle strach, co lęk. Lęk głęboko zakorzeniony w psychice. Taki rodzaj lęku pierwotnego, który uruchamia mechanizm walki o przetrwanie. Ramus właśnie tak się teraz czuł. Jak zwierzę, na które ktoś zastawia gdzieś tam głęboko w lesie sidła, jak na bestię, która jest zaganiana prosto w krąg myśliwych. Ale bestia jest sprytna – myślał sobie. Bestia nie daje się tak szybko i prosto złapać. Bestia umie się bronić i będzie walczyć o życie. A gdy zapragnie więcej się nie lękać, to sama stanie się łowcą i będzie polować na prześladowców. Skradał się. Widział wszystko. Słuch miał zawsze dobry, a w tych warunkach jeszcze się wyostrzył. Kluczył tak za widmem kruka, aż wreszcie las się przerzedził. Na małej polanie zauważył drewnianą chatkę. Było w niej ciemno. Na kominie siedział kruk. Ramus podszedł bliżej i przycisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł powoli do środka, było schludnie, wszystko posprzątane, ułożone na swoim miejscu. Rozpalił ogień w kominku, po czym rozebrał się i powiesił ubrania na sznurku żeby wyschły. Wytrzepał koc paroma mocniejszymi szarpnięciami i położył się spać, zamykając wcześniej drzwi na zasuwę. Wilki wyły całą noc.

Obudziło go krakanie i dzikie dobijanie się do okna. Otworzył oczy, zobaczył czarnego ptaka, walącego

skrzydłami w okno. Podszedł i otworzył je. Kruk wleciał do środka, a razem z nim orzeźwiające, poranne powietrze. Ptak usiadł na oparciu krzesła i wbił wzrok w Ramusa. Ten ubrał się, rozglądając po izbie. Wydedukował, że to szałas jakiegoś myśliwego, który przesiaduje tu w czasie sezonu. Ramus spojrzał na ptaka i powiedział.

– Trzeba by coś zjeść, no nie? Ptaszysko? – uśmiechnął się, zdziwiony, że przyszło mu otwierać gębę do ptaka, który podleciał szybko nad głowę Ramusa. Zakotłowało się. Kruk drapał go po głowie pazurami. Ramus machał rękoma, próbując odgonić ptaka. A do tego biegał i darł się jak wariat. Kruk z powrotem usiadł na oparciu krzesła, rozpostarł skrzydła i zakrakał z wyraźnie słyszalnym wyrzutem.

– Ale charakterna cholera z ciebie! Jak ci się coś nie podoba to leć! – Kruk zignorował dąsy Ramusa. Zleciał z oparcia i podskoczył do Erelisa, leżącego na podłodze w pochwie. Zakrakał. Ramusa coś tchnęło. Podniósł z podłogi miecz i wyjął go z pochwy. Kruk zakrakał znowu, wzleciał i przechylił dziobem głownie miecza tak, żeby ułożyła się poziomo. Prawa ręka Ramusa trzymała rękojeść, a na lewej oparł się sztych. W tym momencie Erelis zaczął rozświetlać się jasnozielonym blaskiem. Kruk usiadł na lewym ramieniu Ramusa, gdy ten nagle usłyszał w głowie głos. Niski, ciepły, jakby przechodzący w szept.

– Odpowiedz namiestniku Erelisa… Odpowiedz Ramusie Krankly… Odpowiedz Leśny Kruku. Nie wierzyłeś we mnie. Odpowiedz.

– Jestem. – powiedział w myślach Ramus. Zapiszczało mu w uszach. Otworzył oczy. Widział, że unosi się w powietrzu. Leciał nad lasem, którego zieleń była soczyście jaskrawa. Na horyzoncie ze wszystkich stron było widać góry. Czuł się wolny, a wszystkie troski i problemy uciekły gdzieś za widnokrąg. Zobaczył polanę, las tworzył dookoła idealny okrąg, a na samym jej środku był wielki, szpiczasty głaz. Wylądował. Na głazie dostrzegł takie same skrypty jak na głowni Erelisa. Nagle usłyszał kroki za plecami, jakby ktoś wychodził z lasu, szeleszcząc ściółką.

– Wreszcie przyszedłeś – powiedziała postać, tajemniczym, dźwięcznym głosem. Ramus odwrócił się. Nie wierzył własnym oczom. Ku niemu zbliżał się ktoś, albo coś. Pół człowiek, pół ptak. Miał prawie, że białą skórę, czarne długie włosy, sięgające poza ramiona, płonące zielone oczy i szeroki, przerażający uśmiech. Zza pleców wystawały mu dwa, duże skrzydła o czarnym upierzeniu. Machał nimi powoli, jakby chciał rozprostować kości. Lekko poza kolana opadał ptasi ogon, przypominający czarny płaszcz. Reszta jego ciała była bardziej ludzka, przynajmniej z wierzchu. Miał goły tors, a spodnie i buty były matowe, barwy czarnej, z ogromną ilością klamer i pasków.

– Kim jesteś – zapytał Ramus, a w jego głosie słychać było drżący niepokój.

– Jak to kim… Nie domyślasz się, Ramus? – Postać uśmiechnęła się wrednie i zabłysnęła oczyma.

– Nie, nie domyślam się! Kim jesteś i skąd wiesz jak mi na imię!?

– Wiem o tobie więcej niż ty sam…

– Gówno prawda! – przerwał – pierwszy raz cię widzę na oczy, śledzisz mnie? Gdzie ja jestem? Kim ty jesteś do jasnej cholery!?

– Wy ludzie macie to do siebie, że mało widzicie dookoła. To, że mnie nigdy wcześniej nie widziałeś, nie znaczy, że ja ignorowałem ciebie.

– Możesz mi wytłumaczyć o co chodzi?

– Myślę, że nie mam wyjścia. Poznajesz te runy… te na kamieniu, prawda?

– Takie same są na moim mieczu.

– Dokładnie. Jednak jesteś troszeczkę bystry. Twój miecz to Erelis. Jeden z darów natury. Ostrze Króla Ptaków. Wiesz już kim jestem, prawda? Jestem Duchem Erelisa.

– Nie wyglądasz mi na orła.

– Jesteś głupi? Czy udajesz? – Duch parsknął, a Ramus się zmarszczył. – To, że nie widzisz przed sobą orła to znaczy, że ty nie jesteś orłem Ramus. Miecz przystosowuje się do natury człowieka. Ciebie natura uczyniła krukiem. Ciesz się to mądre stworzenia. Patrząc na ciebie, nie wiem czemu akurat jesteś krukiem. Bardziej by pasował jakiś szpak, albo sójka.

– Zewrzyj gębę… – wysyczał Ramus.

– Dobra już się nie denerwuj od dzisiaj jesteśmy partnerami. – kruczoczarny Ktoś wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Dlaczego kruk?

– Ehh… W innych przypadkach może by nie było tak prosto. Natura to natura, ale ty Ramus. Widzisz… nazwisko, które odziedziczyłeś, w starożytnym języku elfów znaczy tyle co Kruk. – Ramusowi oczy prawie wyszły na wierzch ze zdziwienia. Skrzywił się i przybrał kolor buraka ćwikłowego. – Dziwię się, że tego nie wiesz. – zarechotał duch.

– Daruj sobie.

– Nie no, wszystko jest w porządku. – stwierdził z ironią – Nie ważne, ja jestem Dovan. Powinniśmy uratować naszych przyjaciół.

– Moich przyjaciół…

– Ehh.. ale mnie Manta Natura pokarała – powiedział do siebie Dovan, spoglądając w niebo – Ramus, zrozum. Teraz musimy działać wspólnie, rozumiesz. Ze mną możesz zrobić o wiele więcej. Musisz mi zaufać. – ton Dovana zmienił się, teraz był poważny.

– Jeśli tylko zechcę, mogę zrobić wszystko sam.

– Za prawdę wspaniała filozofia. – zadrwił znowu – Tak jak mówisz, ale jaki jest sens odrzucać coś co ci pomoże. Ja nie jestem tylko widmem. Jestem żywą istotą, choć nie w taki sposób, który jest zrozumiały dla ludzi.

– Wiesz gdzie oni są?

– Wiem.

– Zaprowadź mnie, a ci zaufam. – w tym momencie Ramus otworzył oczy i zorientował się, że stoi pośród drewnianego domku w lesie. Kruk siedział na jego ramieniu.

– Idziemy – Powiedział nagle kruk głosem Dovana, a Ramus wytrzeszczył na niego gały. – no co się dziwisz? To ja, Dovan. Pomyślałem, że będzie ci łatwiej się do mnie przyzwyczaić jeśli będziesz mógł ze mną normalnie przebywać i rozmawiać. – wyjaśnił.

– Ty to nazywasz normalnie?

– A jak byś wolał?

– Dobra, nieważne. Prowadź. – Kruk wzbił się w powietrze i wyleciał przez okno. Ramus włożył miecz do pochwy, przytroczył do pleców i wybiegł z chaty.

Ramus biegł wśród dębów i olszyn, podążając za krukiem. Pachniało grzybami. Co i raz jakaś wiewiórka przecinała im drogę w pośpiechu, wracając do swojej nory na pobliskim drzewie. Ptaki przekrzykiwały się i odpowiadały chórem. To nie był taki sam mroczny las, jaki Ramus pamiętał z ostatniej nocy.

– Dovan?

– O co chodzi?

– Jaką masz pewność, że dotrzemy na miejsce i kogoś tam jeszcze zastaniemy?

Kruk przysiadł na gałęzi dziobem w stronę Ramusa. Ten zatrzymał się, wsparł ręce o kolana i ciężko dyszał.

– Myślę, że tak szybko się stamtąd nie wyniosą. Myślę… że to coś większego, Ramus. – milczeli przez chwilę. Ramus dyszał nadal, patrząc się krzywo na czarnego ptaka.

– A konkretnie? – Ramus w końcu przerwał milczenie.

– Widziałeś ilu było tych bandytów, tam, na rzece. Co najmniej dwudziestu, prawda? – Ramus potwierdził, kiwając głową. – Taka kompania mogłaby sobie pozwolić na wymarsz nazajutrz rano. Ale Ramus, tam jest około 40 ludzi. To nie jest bandycka szajka. To jest…

***

– …oddział specjalny. To jest wojsko Peleda. – powiedział Billie, spluwając krwią. – Widzisz ten namiot, na końcu, po twojej lewej? To namiot dowódcy. Zwróć uwagę, że salutują sobie nawzajem. Zwróć uwagę, że śpiewają żołnierskie pieśni. Zwróć uwagę Peleda, że mają specyficzny akcent.

– Są ze wschodu – odpowiedziała Peleda, a jej oczy się rozszerzyły. – Billie? Dlaczego tak? Czego oni od nas chcą? Dlaczego w ogóle oddział specjalny z Veresnum miałby stacjonować u swojego sąsiada. Billie, co to oznacza? – zapytała z przerażeniem.

– Jeszcze za wcześnie żeby cokolwiek… – urwał z powodu mocnego kopniaka prosto w przeponę. Skulił się i przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

– Zewrzyj ryj, jebany alchemiku. Przypiekę cię na ogniu jak świnie. Zobaczysz jak to przyjemnie zostać

zwęglonym. – strażnik zaśmiał się szyderczo i odszedł kawałek, odwracając się do nich plecami, a przodem w stronę namiotu dowódcy. Był ogromny, a na plecach nosił wielki młot. Billie i Peleda siedzieli przywiązani do słupa plecami do siebie. Dookoła unosił się wstrętny zapach stęchlizny, potu i uryny. Nagle na drewnianym słupie usiadł kruk i głośno zakrakał.

– Billie?

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Bywało lepiej. – zaśmiał się i splunął krwią.

– Dlaczego to są ludzie?

– Co!?

– No, dlaczego to są ludzie, skoro Veresnum to kraj elfów?

– A czemu elfy miałyby sobie brudzić ręce? Lepiej do takiej roboty posłać ludzi. Po pierwsze: nie demaskują prawdziwego pochodzenie i zamiarów. Po drugie: wystarczy im zapłacić dobrze, a nie zadają pytań. A po trzecie: ludzie łatwiej ulegają pierwotnym rządzą. Gdyby zapewnić im odpowiednie do tego warunki to kradliby, mordowali, gwałcili, pili i obżerali się, aż by ich ktoś o łeb nie skrócił.

– Hmm… Masz rację. – spojrzała na kruka, siedzącego na słupie. – Zobacz Billie, już czeka. Czeka, aż będzie miał co skubać. Rozdziobią nas kruki i wrony…

– O czym ty mówisz Peleda? A Ramus? Przecież cały czas musimy mieć nadzieję, że nas nie zostawi.

– Wiem Billie, że Ramus by nas nigdy nie zostawił, ale… wydaję mi się, że… że on… – załkała delikatnie.

– Jak ty w ogóle możesz tak myśleć!? Ramus żyje. Jestem tego pewien. Czuję to Peleda, on żyje, Rozumiesz!?

Peleda łkała głośniej. Strażnik usłyszał podniesiony głos Billiego odwrócił się i szybkim zdecydowanym krokiem, podszedł i docisnął ogromnym buciorem do ziemi kolano alchemika.

– Czego się kurwa drzesz? – powiedział przez zaciśnięte zęby pochylając się nad jeńcem, a na jego twarzy widniał wredny, sadystyczny uśmiech. – tak szybko chcesz umierać? Poczekaj jeszcze przyjdzie…

– Wcale mi nie tak spieszno. Zobaczymy kto pierwszy… – Billiem skończyć nie pozwoliło potężne kopnięcie z partyzanta prosto w nos. Billie zalał się krwią i uderzył potylicą o słup, a głowa opadła mu na pierś.

– Zostaw go! – wrzasnęła Peleda.

– Zamknij ryj kurwo! Wyszczekaną masz kompankę. Ciekawe czy też taka charakterna jak się ją przewinie przez burtę i chędoży bez opamiętania. Jesteś zwykłym ścierwem alchemiku – ciągnął dryblas – jesteś nic niewartą szumowiną, która powinna zniknąć jak najprędzej. Ograniczają mnie tylko rozkazy.

– Mówi ten co się sprzedał elfom. – wystękał Billie. Dryblas przez chwilę milczał. Alchemik podniósł głowę i splunął mu krwią w twarz. Jego mina była inna niż zwykle, szyderczy uśmiech i przepalający wzrok, który wwiercał się głęboko w podświadomość strażnika. Dryblas nic nie powiedział. Kruk zakrakał. Strażnik wyprostował się, złapał za młot. Słońce zaszło już za drzewa. Cienie niespokojnie tańczyły na ścianie lasu.

– Zabiję cię ty skurwysynu. – powiedział strażnik, unosząc młot nad głowę – a potem zgwałcę twoją sukę.

– Spróbuj – powiedział spokojnie Billie. Wiedział, że nic nie może zrobić, ale duma nie pozwalała mu się płaszczyć przed śmieciem. Peleda łkała. Kruk zaczął krakać jak szalony. Dryblas spojrzał na niego i to był jego błąd.

***

– Ramus nie! Jeszcze nie teraz! Nie zabijesz ich wszystkich! – krzyczał Ramusowi w głowie głos Dovana. Ramus słyszał już krakanie przed sobą.

– Zamknij się! On go chce zabić! – odpowiedział Dovanowi i biegł ile sił w nogach. Czuł nawet, że biegnie szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Trochę go to dziwiło, ale nie było czasu by się teraz nad tym roztkliwiać. Widział już światła obozu. Widział już słup i kruka. Widział.

***

Jak młot wisi nad jego głową. Peleda krzyczała. Nagle coś czarnego przemknęło przed oczami Billiego. To wszystko? Całe moje życie? Pomyślał Billie i zobaczył jak młot nagle runął za plecami dryblasa, wraz z rękoma, które nadal kurczowo trzymały trzonek. Temu niemalże oczy wyszły na wierzch. Z obu kikutów obficie sączyła się krew. Strażnik spoglądał to na jeden to na drugi, a oczy wychodziły mu coraz bardziej. W pewnym momencie jego przepona i płuca zaczęły jednostajną pracę, uniósł głowę, spoglądając na niebo. Billie widział, że za chwilę, ciszę wieczoru rozerwie wrzask, alarmujący o intruzie. Mylił się. Coś znowu przeleciało Billiemu przed oczami, a jego twarz ochlapała ciepła krew. Strażnik zabulgotał tylko, rozlewając wokół siebie ogrom osocza, a następnie runął na czerwieniącą się ściółkę. Kruk

zleciał ze słupa i zniknął w cieniu. Billie nie mógł sobie przetrzeć oczu, na które spływała krew, przez co słabo widział. Dostrzegł w końcu postać wyłaniającą się z cienia. To był Ramus, a na jego ramieniu siedział kruk. Wyglądał jak demon. Miał pomalowaną węglem twarz, a spod kaptura błyskały, płonące zielonym ogniem oczy. Krew kapała z Erelisa jednostajnie, brocząc ściółkę kropelkami czerwonego płynu. Peleda pytała co się dzieje. Billie patrzył w stronę przyjaciela trochę ze zdziwieniem, trochę ze strachem, a trochę z nieprzejednaną wdzięcznością i przekonaniem, że nie zwątpił w niego, aż do samego końca. Całe moje życie – pomyślał. Uratowałeś mnie nawet wtedy, kiedy śmierć trzymała mnie za kark nad przepaściom. Łzy podeszły mu do oczu. Ramus podszedł bliżej i szepnął.

– Billie, ilu ich tu jest?

– Ramus, to ty! – krzyknęła Peleda, ale na szczęście nikt nie usłyszał.

– Tak. Ciszej do jasnej cholery. – Peleda znowu załkała.

– Teraz około dwudziestu. Część zginęła na rzece, a inni poszli szukać ciebie. – powiedział Billie.

– A Rukyta?

– Nie wiadomo. Zniknął jeszcze przed tobą.

– To wiem. Myślałem, że się znalazł.

– Nie, nie widziałem go tutaj. Ramus?

– Słucham.

– To nie są zwykli bandyci.

– Tak wiem. Pogadamy później, teraz się ogarnij i musimy działać, zanim się zorientują. – powiedział rozcinając więzy.

– Skąd wiesz, że to nie są bandyci? – spytał Billie, rozmasowując obolałe nadgarstki.

– Od niego – wskazał na kruka.

– Jak to?

– Billie, mówiłem ci, pogadamy później.

– Dobra jak chcesz. – Powiedział alchemik, mierząc wzrokiem kruka.

– No i co się patrzysz? – wykrakał ptak, a Billie przestał się poruszać i wybałuszył oczy na niezwykłego kompana Ramusa.

– Ramus?

– Pogadamy później!

– O kurwa… Zobaczcie – powiedziała Peleda, która najwyraźniej wracała powoli do formy. Obejrzeli się w stronę namiotu dowódcy i zobaczyli Rukytę, który szedł prowadzony przez dwóch strażników. Dziwne było jednak to, że szedł całkiem pewnie, był spokojny i nie miał skrępowanych kończyn.

– Musimy go ratować. – powiedział Ramus.

– Oszalałeś? Przecież od razu widać, że Rukyta wcale nie jest tym, za kogo się wcześniej podawał.

– Trzeba by to sprawdzić – zaskrzeczał Dovan i poleciał w stronę namiotu.

Mieli szczęście, że obozowisko było słabo oświetlone, że większość kompanii była nieobecna i że nikt nie spodziewał się, że więźniowie uciekną. Tymczasem najlepszy strażnik i jeden z lepszych wojowników oddziału, leżał w kałuży własnej krwi.

***

Do namiotu wszedł Rukyta Silke, który najwyraźniej był nie do końca uradowany ze swojego położenia. Za niedużym stolikiem siedział wysoki mężczyzna o siwych włosach i gęstej, białej brodzie. Na twarzy miał paskudną szramę, idącą od czoła, mijając szczęśliwie oczodół i ciągnąc się, aż do ucha. W namiocie byli tylko oni dwaj, strażnicy zostali przed wejściem, zajęci rozmową o duperelach, zwyczajem wszystkich strażników, jak świat długi i szeroki. Dowódca podniósł głowę. Uśmiechnął się szyderczo, a blizna zmieniła swój kształt, dodając wredności grymasowi.

– Witaj. – rzekł dowódca – coś się tak ociągał Rukyta?

– Nie mam zamiaru się przed tobą tłumaczyć Zilas.

– Chciałbym ci przypomnieć, że jestem dowódcom oddziałów specjalnych, stacjonujących na terenach Tevynevande. Ktokolwiek jest tutaj z tajnym zadaniem, podlega moim rozkazom. Rozkazuje ci więc Rukyta, gadaj czego się dowiedziałeś.

– Nie, Zilas. Posłuszeństwa nie ślubowałem tobie. Nie będę się przed tobą tłumaczył.

– Co ty pierdolisz Rukyta!? – dowódca wstał i huknął pięścią o stół – Jestem twoim przełożonym. Jako

oficer jego królewskiej mości jesteś teraz pod moimi rozkazami!

– Jako oficer muszę być wierny tego co ślubowałem i komy ślubowałem. – spokój Rukyty wyraźnie drażnił jego rozmówce.

– Chyba nie dostrzegasz powagi sytuacji Rukyta. – dowódca usiadł i nieco spokojniejszym tonem począł tłumaczyć. – Gdzie miałeś płynąć? Gdzie miała być zasadzka?

– Nie pamiętam…

– Nie pierdol mi tutaj takich bzdur! – Zilas znowu stracił panowanie. – Ehh… Nie będę owijał w bawełnę… To wygląda na zdradę Rukyta. To trąci zdradą już od samej granicy, rozumiesz? Możesz się teraz wytłumaczyć. Wszystko zostanie między nami. Słowo oficera.

– Już ci mówiłem Zilas, że nie będę się przed tobą tłumaczył. Raport mam złożyć bezpośrednio królowi.

– Któremu królowi? – Zilas zmrużył oczy.

– Nie wciągniesz mnie w tę przesłuchaniowom gierkę.

– Jesteś podwójnym agentem. Tak czy nie?

– Nie będę się tłumaczył.

– Gadaj do jasnej kurwy Rukyta bo ci karze pal wystrugać! – tym razem dowódca oddziałów specjalnych zrobił się czerwony ze złości. Wstał gwałtownie, przewracając stolik, podszedł do Rukyty i trzasnął go w pysk. Sapał głośno, a jego blizna nabrzmiała i zrobiła się sina. Rukyta stał wyprostowany. Otrzepał ubranie i głęboko westchnął.

– Tracisz nad sobą panowanie. Jesteś już na to za stary przyjacielu.

– Odpowiedz. Tak czy nie!? – wycedził przez zaciśnięte złością zęby.

– Nie. Służę temu, komu uważam za stosowne służyć. A ty? – Zilas nie odpowiedział. Wiedział, że z Rukytom nie ma żartów, że jest idealnym szpiegiem. Starym, przebiegłym, ale honorowym lisem. Wiedział, że jakby nie odpowiedział na to pytanie, to ta odpowiedź mogłaby go zaprowadzić pod szafot.

– Nie będę się przed tobą tłumaczył. – odpowiedział, uśmiechając się półgębkiem, a Rukyta odwzajemnił się tym samym. Milczeli.

– Nie pamiętam już nawet twojego prawdziwego imienia stary przyjacielu. – przerwał ciszę Zilas. Najwidoczniej uspokoił się nieco i stwierdził, że lepiej nie mieszać się w śliskie sprawy i oddzielić życie zawodowe od prywatnego.

– Teraz moje stare imię nie ma już znaczenia. Wiesz o tym dobrze, Zilas.

Dowódca spuścił głowę i usiadł na krześle, stojącym obok przewróconego stolika. Wbił oczy w Rukytę, który stał dumnie wyprostowany.

– Masz mój miecz? – zaczął w końcu Rukyta.

– Mam. – Zilas podniósł się po czym, podszedł do kufra i wyjął z niego niedługą pochwę z mieczem i podał ją Rukycie.

– Tyle czasu. – stwierdził oficer, a w jego głosie słychać było sentyment. Wyciągnął miecz z pochwy. Ostrze głowni było niemalże białe, a głowica była zwieńczona głową białego wilka.

– Możesz odejść Rukyta. Najlepiej by było gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

– Żałuję Zilas.

– Ja również.

– Powodzenia.

– Idź już.

***

Po pewnym czasie z namiotu wyszedł Rukyta, a kruk wrócił do kompanii. Wszyscy słuchali opowieści z wywalonymi gałami, kręcąc co jakiś czas głową z niedowierzaniem i spoglądając na siebie znacząco. Nagle rozległ się krzyk, który alarmował cały obóz o ucieczce więźniów. Ktoś zainteresował się i podszedł do słupa. Zorientował się wtedy, że więźniów niema, a strażnik leży zaszlachtowany. W obozie zapanował chaos, wszyscy krzyczeli. Zilas wyszedł z namiotu i zaklął głośno, waląc strażnika w pysk ćwiekowaną rękawicą.

– Jasna cholera! Wiejemy! – krzyknął Billie.

– Muszę odzyskać łuk!

– Głupi jesteś Ramus! – wtrąciła Peleda. – Nie dasz rady wszystkim.

– Oni mają rację – zaskrzeczał Dovan. Ramus zaklął przez zęby, nie mogąc się zdecydować.

– Dobra, wiejemy. – powiedział w końcu. – Ja biegnę na końcu, a przed wami będzie leciał Dovan. Biegnijcie za krakaniem.

Ruszyli biegiem w ciemny las. Co chwila ktoś się potykał. Peleda klęła. Billie sapał. Dovan krakał. Ramus myślał o Rukycie i jego rozmowie z dowódcą oddziału specjalnego. Nie mógł uwierzyć, że ten flisak jest oficerem. Oficerem na służbie innego króla. Szpiegiem. I co on tu w ogóle robi. Nieźle się wkopaliśmy – myślał. Nagle przyszła mu do głowy inna myśl, przez którą, aż dreszcz pojawił mu się na karku. Jeśli by połączyć fakty to wychodzi na to, że ktoś nas ściga. Zależy im na nas. Dlaczego? – myślał. Niezłe bagno. Nieźle się wpakowaliśmy. Jakieś polityczne sprawy, ale co nam do tego? – myślał, myślał, ale nic nie wymyślił.

Wybiegli w końcu na gościniec. Uciekali w kierunku pagórka, gdy nagle usłyszeli tętent końskich kopyt za plecami. Ramus odwrócił się i dobył Erelisa. Słyszał, że jest tylko jeden jeździec. Słuch miał wyostrzony, panowała ciemność. Galop było słychać coraz wyraźniej. Ramus zszedł z drogi i zamachnął się mieczem w kierunku domniemanej pozycji jeźdźca. Poczuł jak klingi uderzają o siebie z ogromnym impetem i chrzęstem metalu, spod którego sypnęły się iskry.

– Czemu mnie atakujesz? – powiedział jeździec znajomym, ale nieco zmienionym głosem.

– Rukyta! Zdradziłeś nas! – krzyknął Ramus. Jeździec powoli podjechał w jego stronę.

– Mówisz, że was zdradziłem… A kim wy dal mnie jesteście. Kim byliście. Przypadkiem nie klientami.

– Myślałem…

– Ramus nie jestem tym za kogo mnie miałeś i nie potrzebnie myślałeś, że jesteśmy kompanami. Jesteś zbyt łatwowierny. Ludziom nie należy bezgranicznie ufać. Szczególnie w takich czasach.

– Czemu, przecież panuje pokój.

– Pokój jest dla ciebie i dla ludzi, którzy żyją z dnia na dzień bez większego zaangażowania we własne

życie. Wiesz już kim jestem, jak mniemam. Albo przynajmniej się domyślasz, ale i tak jesteś w błędzie. – Rukyta zszedł z konia i podszedł do Ramusa, chowając miecz. – To był oddział specjalny królestwa Veresnum. Wiesz czym jest pokój dla takich ludzi, Ramus? Jest dla nich cichą wojną. Wiesz czym jest pokój dla szpiegów. Jest dla nich ciągłym brakiem zaufania i sprawdzania lojalności władców wobec siebie nawzajem. Niema pokoju Ramus. Nie istnieje. Zawsze jest jakaś wojna. Wojna wywiadów, wyścig zbrojeń, wojna ekonomiczna.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo już wpadłeś w to gówno.

– Dlaczego?

– Źle zadajesz pytania Ramus. Nie mogę odpowiedzieć na źle zadane pytanie. Gdybym to zrobił to albo stwierdzisz, że łżę, albo zostaniesz zraniony i zrobisz coś głupiego. Pyzatym o ważnych rzeczach powinieneś dowiedzieć się od ważnych dla siebie ludzi.

– Masz zamiar ze mną walczyć?

– Nie.

– Będziesz nas ścigał?

– Też nie. Mam do załatwienia inne sprawy.

– Jakie sprawy.

– Złe pytanie. – uśmiechnął się półgębkiem Rukyta.

– Czy tamci będą nas ścigać?

– Na razie nie. Powiedziałem im, że uciekliście w innym kierunku, to powinno wam dać trochę czasu. Ja jak widzisz udałem się za wami. Podejdź no tu. – Rukyta skinął głową w stronę swojego wierzchowca. Podszedł do niego, odwracając się do Ramusa tyłem. Ten uznał, że Rukyta musi mu ufać więc schwał miecz i podszedł bez wahania. Nie przeliczył się.

– Mam tu wasze graty. Torbę Billiego, twój łuk, nowy nóż myśliwski i kuszę Peledy, a właśnie! Co tam u niej słychać.

– Rukyta daj spokój…

– Wybacz mi. He he, kawał dobrego ciałka. – Rukyta się zaczerwienił, a Ramus zdziwił i nieco zniesmaczył. Stwierdził, że nie będzie komentował.

– No to powodzenia i do zobaczenia. – Rukyta uśmiechnął się i szybkim susem wskoczył na wierzchowca. Na barku Ramusa usiadł kruk. Rukyta od razu zwrócił na niego uwagę i pokiwał twierdząco głową, ale szybko jego oczy wróciły na rozmówcę.

– Myślisz, że się jeszcze kiedyś spotkamy? – spytał Ramus z niedowierzaniem.

– Myślę,… że jest to nieuniknione. – odpowiedział uśmiechając się.

– W takim razie do zobaczenia. Rukyta?

– Słucham.

– Co się dzieje?

– Złe pytanie. – wyszczerzył, całkowicie zdrowe zęby, co zdziwiło Ramusa, bo Rukyta, którego znał takowych nie posiadał. Popędził konia brzegiem ściany lasu, z której nieśmiało majaczyły niezgrabne, nocne cienie. Ramus patrzył jak jeździec znika w ciemnościach. Zebrał graty i ruszył w stronę pagórka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MG, dodano 21.12.2012 13:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.